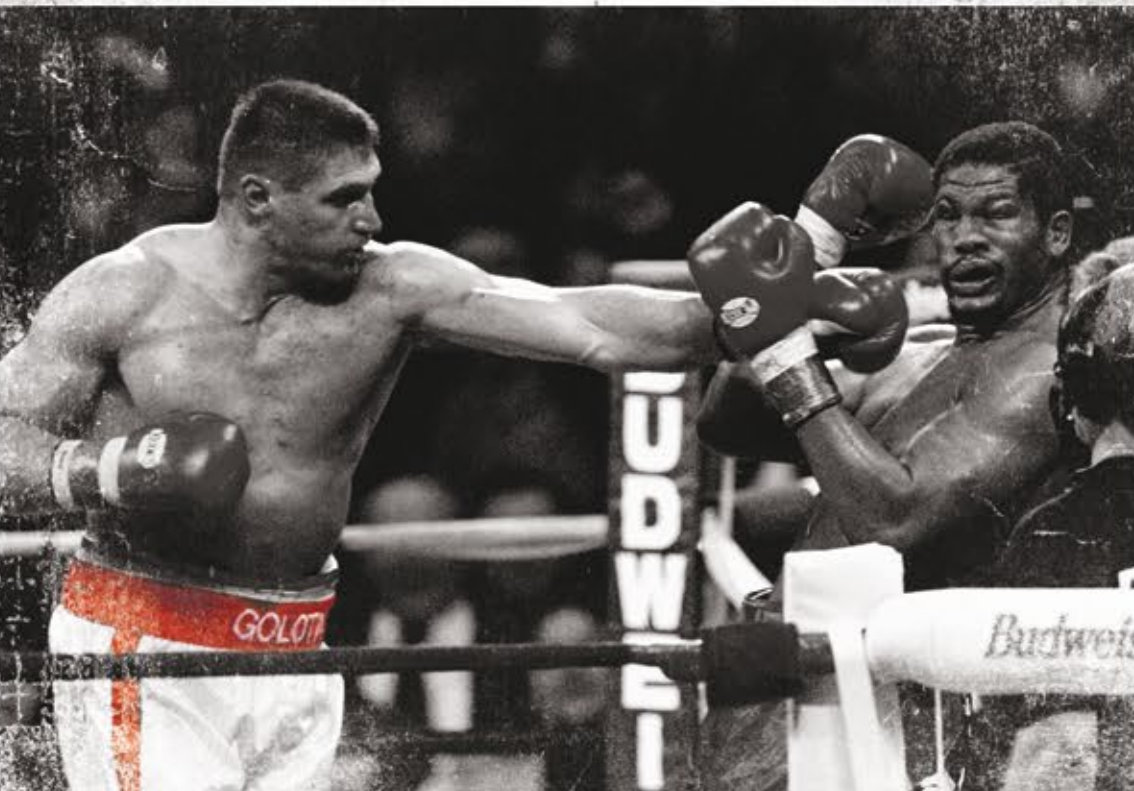


PRZEMYSŁAW OSIĄK

NIEPOKONANY

W 28 WALKACH



ĆWIERĆ WIEKU PO BITWACH ANDRZEJA GOŁOTY Z RIDDICKIEM BOWE'EM
KULISY, EMOCJE, ANEGDOTY, NIEZNANE FAKTY
POLSKA LEGENDA WAGI CIĘŻKIEJ OCZAMI SŁAW BOKSU I NIE TYLKO

KAZIK STASZEWSKI ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI MARCIN DANIEC
DARIUSZ MICHALCZEWSKI CZESŁAW PTAK JERZY RYBICKI JANUSZ PINDERA
TEDDY ATLAS SAM COLONNA RONNIE SHIELDS
RADOŚLAW LENIARSKI ADAM KUSIOR HENRYK PETRICH ZIGGY ROZALSKI
TIM SMITH ROCK NEWMAN THELL TORRENCE
PRZEMYSŁAW GARCZARCZYK HENRYK ZATYKA ANDRZEJ WASILEWSKI
DANELL NICHOLSON RAY MERCER LENNOX LEWIS

PRZEMYSŁAW OSIAK

NIEPOKONANY

W 28 WALKACH

BIBLIOTEKA
PRZEGLĄD
SPORTOWY

WARSZAWA 2021

Tekst © Copyright by Przemysław Osiak, 2021

Redakcja merytoryczna: Janusz Pindera

Korekta: Aneta Gawędzka-Paniczko, Marcelina Szewczyk

Projekt okładki: Przemysław Piotrowski

DTP: INSATSU Michał Żeleznikowicz

Ilustracje: Laura Siegień

Fotoedycja: Jarosław Arczewski

Koordynator projektu: Katarzyna Drosio

Zdjęcia okładka: George Tiedemann/Sports Illustrated/Getty Images

Zdjęcia środki: Archiwa prywatne: Janusza Pindery (x2), Adama Kusiora (x2), Henryka Petricha (x3), Radosława Leniarskiego, Czesława Ptaka, Henryka Zatyki, Przemysława Garczarczyka, @official-ronnieshields, Marcina Dańca, Timothy'ego Smitha, Mircea Hudek/AGERPRES FOTO, PAP (x2), Teodor Walczak/CAF/PAP, Włodzimierz sierakowski/400mm (x2), Piotr Kucza/FotoPyk (x4), Leszek Fidusiewicz, Getty Images (x4), The Ring Magazine/Getty Images (x4), Sports Illustrated/Getty Images, Al Bello /Allsport/Getty Images, Daily News Archive/Getty Images (x4), Janusz Szewiński, Andrzej Iwanczuk/REPORTER, Kamil Krzaczyński, Kuba Atys/Agencja Gazeta (x2), AFP PHOTO/East News, AP Photo /East News (x2), Imago/East News, Wojtek Rządźewski/Super Express/East News, Mieczysław Świdorski

Wydawca:

Ringier Axel Springer Polska Sp. z o.o.

ul. Domaniewska 49

02-672 Warszawa

ISBN: 978-83-8250-072-1

Warszawa 2021

SPIS TREŚCI

5		WSTĘP
8		JANUSZ PINDERA
25		ADAM KUSIOR
37		DARIUSZ MICHALCZEWSKI
47		CZESŁAW PTAK
55		HENRYK ZATYKA
67		ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI
82		HENRYK PETRICH
93		RAY MERCER
102		ANDRZEJ WASILEWSKI
117		JERZY RYBICKI
127		JANUSZ PINDERA – CZĘŚĆ II
144		PRZEMYSŁAW GARCZARZYK
165		SAM COLONNA
176		DANELL NICHOLSON
186		RADOSŁAW LENIARSKI
202		ROCK NEWMAN
226		THELL TORRENCE
242		KAZIK STASZEWSKI
256		ZIGGY ROZALSKI
265		RONNIE SHIELDS
275		TEDDY ATLAS
285		MARCIN DANIEC
295		TIMOTHY SMITH
302		LENNOX LEWIS
313		JANUSZ PINDERA – CZĘŚĆ III
319		PODZIĘKOWANIA
320		BIOGRAM

WSTĘP

GOŁOTA – BOWE: DWA ZASADNICZE PYTANIA

Nie mam wątpliwości, że w historii polskiego boksu zawodowego nie wydarzyło się do tej pory nic równie ciekawego jak walki Andrzeja Gołoty z Riddickiem Bowe'em. 11 lipca bieżącego roku minie dokładnie ćwierć wieku od ich pierwszego starcia rozegranego w Nowym Jorku, zaś 14 grudnia tyle samo czasu upłynie od rewanżu w Atlantic City. Proszę mnie dobrze zrozumieć – pozostaję pełen podziwu wobec wspaniałych sukcesów Dariusza Michalczewskiego, Tomasza Adamka oraz Krzysztofów Włodarczyka i Głowackiego, którzy zakładali pasy mistrzów świata. Jak dobrze pamiętamy, Gołocie ta sztuka finalnie się nie udała, w związku z czym czterech wymienionych od strony sportowej należy ocenić wyżej. To pewne. Jednak czy któryś z tych znakomitych pięściarzy aż tak bardzo zainteresował, zaintrygował Polaków i wzbudził w nich równie wielkie emocje? Czy ktoś z tego grona zyskał porównywalny rozgłos w mekce zawodowego boks, czyli Stanach Zjednoczonych? Czy inny nasz bokser stał się tam gwiazdą pierwszej wielkości? Nie, ponieważ tylko Gołota miał okazję zmierzyć się w USA ze sławą pokroju Bowe'a, na przełomie 1995 i 1996 roku zajmującego jeszcze pierwsze miejsce w rankingu wagi ciężkiej magazynu „The Ring”. Zawodnika, który dwukrotnie pokonał Evandera Holyfielda!

W ciągu trzech dekad faktycznego istnienia polskiego boks, zawodowego nie było też żadnego innego pojedynku, o którym powstałoby tak wiele fascynujących, wciągających opowieści, których nawet po dwudziestu pięciu latach słucha się z otwartymi ustami. Pod koniec XX wieku, parę lat po upadku komuny, właśnie dzięki Gołocie nastąpiło pierwsze spotkanie Polaków z otoczką i przepychem wielkiego zawodowego sportu. Akcja działa się w Stanach Zjednoczonych, kraju w większym stopniu niż dzisiaj kojarzonym z bogactwem i dobrobytem. W centrum tego wielkiego świata mieliśmy naszego człowieka, potężnego

i zagadkowego mężczyznę, który na ringu otoczonej wieżowcami areny Madison Square Garden – dokładnie tam, gdzie... dwadzieścia pięć lat wcześniej Joe Frazier pokonał Muhammada Alego w „Walce Stulecia” – okładał słynnego przeciwnika z nadzwyczajną łatwością, przed każdym z nas roztaczając wizję spełnienia amerykańskiego snu. Utożsamialiśmy się z Gołotą, żarliwie mu kibicując. Z tego samego powodu tak mocno przeżywaliśmy jego niewytłumaczalne niepowodzenia, a rozmawiamy o nich do dzisiaj, kręcąc głowami z niedowierzaniem.

Książka, którą trzymacie Państwo w ręku, będąca zbiorem wywiadów z ludźmi przeważnie świetnie znającymi Gołotę (skoro 25-lecie niezapomnianych walk, to i 25 rozmów), powstała po to, aby odpowiedzieć na dwa zasadnicze pytania. Po pierwsze – jak doszło do tego, że ten postawny, krnąbrny chłopak z Warszawy, który rękawice boksinerskie pierwszy raz założył jako 13-latek na skutek pobicia go przez starszego o parę lat wyrostka, kilkanaście lat później stał się gladiatorem zdolnym zadziwić cały świat, zadającym ciosy w najświetniejszej sportowej hali na kuli ziemskiej? I po drugie – jakim cudem ten kapitalny wojownik, tak dobrze wyszkolony technicznie już przez trenerów Legii Warszawa, dysponujący rewelacyjnymi cechami pięściarskimi i odpowiednimi warunkami fizycznymi, potrafiący osiągnąć tak wyraźną przewagę nad rywalem pokroju Bowe’a, nie był w stanie zejść z ringu jako triumfator? A niedługo potem wytrzymać presji przed pojedynkiem jeszcze większego kalibru, bo o mistrzostwo świata z Lennoxem Lewisem?

Właśnie na starciu naszego reprezentanta o pas WBC, które odbyło się 4 października 1997 roku w Atlantic City, poza nielicznymi wyjątkami, kończą się opowieści współbohaterów niniejszej książki, którymi są moi rozmówcy – w tym sam Lewis, jeden z największych czempionów w historii wagi ciężkiej. Już na początku pracy zdałem sobie bowiem sprawę, że ciekawego materiału dotyczącego pierwszych szesnastu lat przygody Gołoty z boksem (1981–97) jest na tyle dużo, że szkoda byłoby zrealizować temat zbyt pobieżnie. I zrezygnować z przedstawienia wielu istotnych treści, stawiając sobie za cel publikację wywiadów dotyczących całej kariery Andrew, zakończonej przecież dopiero osiem lat temu. Taka decyzja pozostawia oczywiście możliwość opowiedzenia o kolejnych piętnastu latach potyczek naszego pięściarza (1998–2013) w późniejszym czasie.

Znajdą tu Państwo rozmowy z trenerami Gołoty, obserwującymi jego rozwój w boksie amatorskim i zawodowym, przeciwnikami z ringu, kolegami z klubu bądź reprezentacji, wybitnymi dziennikarzami, przyglądającymi się Andrzejowi na przestrzeni wielu lat i relacjonującymi jego pojedynki, osobistościami pięściarskiego świata, znającymi tę dyscyplinę od podszewki. A także z artystami, którzy poświęcili tej charakterystycznej, nieodgadnionej postaci

część swojej twórczości. Nie mogło zabraknąć również byłego Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Aleksandra Kwaśniewskiego, a szczególnej uwadze Czytelników polecam dwie kapitalne relacje z samego środka obozu Bowe'a, dające konkretne wyobrażenie na temat tego, z jakimi bólączkami zmagał się „Big Daddy”. Nie tylko bezpośrednio przed starciami z Polakiem, ale i w całym swoim życiu.

Spotykając się z moimi rozmówcami twarzą w twarz lub spędzając długie godziny na robieniu telefonicznych wywiadów z ludźmi żyjącymi po drugiej stronie Atlantyku, starałem koncentrować się na kwestiach dotyczących sportowego życia Gołoty, jak i jego osobistych relacji z tymi, których miałem okazję słuchać. Nie było moim celem przypominanie różnych, nie do końca wyjaśnionych sytuacji, w które Andrzej jako młody, urodzony w 1968 roku człowiek zamieszany był w końcówce lat osiemdziesiątych i o których w polskiej prasie pisano już dawno temu. Od pewnych wydarzeń uciec oczywiście nie sposób – mam na myśli choćby pobicie szykującego się do startu w igrzyskach 20-letniego Gołoty w jednym z warszawskich lokali, a przede wszystkim aferę wrocławską z maja 1990 roku. W końcu właśnie to drugie zajście doprowadziło do tego, że brązowy medalista olimpijski opuścił kraj jako człowiek ścigany listem gończym i zakotwiczył w Chicago, gdzie mieszka do dziś. Ojczyznę oczywiście regularnie odwiedza, bo za tamten występ odpowiedział przed sądem na początku 1997 roku. Od tamtej pory dał się poznać – choć w jego przypadku to raczej mało trafne określenie – jako człowiek skryty i małomówny, obdarzony specyficznym poczuciem humoru, jednak ciągle budzący ciekawość, przyciągający ludzi swoją nietypową, tajemniczą osobowością. Nie ulega wątpliwości, że ta książka powie o Gołocie o wiele więcej, choć może być i tak, że dla niektórych stanie się on jeszcze większą zagadką.

„Niepokonany w 28 walkach” – bo od tych słów zaczyna się „Andrzej Gołota”, utwór kolejnego z moich znakomitych rozmówców Kazika Staszewskiego, napisany dzień po rewanżu z Bowe'em – to również historia wielkiego światowego boksu. Zarówno amatorskiego w latach osiemdziesiątych, jak i zawodowego w kolejnej dekadzie – naturalnie ze szczególnym uwzględnieniem kategorii ciężkiej, bo tamten wspinały okres królującej na amerykańskich ringach *heavyweight* wspomina się dziś z wielką nostalgią. Wierzę, że dzięki tej książce jeszcze raz przeżyją Państwo część tych nieprawdopodobnych emocji. Z „wielką nadzieją białych”, Andrzejem Gołotą w roli głównej.

Przemysław Osiak

Warszawa, kwiecień 2021 roku

KRYSTAŁ SIĘ NIE SKLEJA

Czy w 1985 roku, kiedy Andrzej Gołota odniósł swój pierwszy wielki sukces, zostając w Bukareszcie wicemistrzem świata juniorów, widać już było kryzys polskiego boksu amatorskiego?

Starsze pokolenie z pewnością nadal wyczekiwało sukcesów z uwagi na to, jak mocny był polski boks w przeszłości. Miałem osiem lat, kiedy w 1963 roku wspólnie z ojcem oglądałem mistrzostwa Europy w Moskwie, gdzie właściwie toczył się mecz ZSRR z resztą kontynentu, a Polacy odegrali w tej imprezie znaczącą rolę, bo finałowe pojedynki wygrali Jerzy Kulej i Zbigniew Pietrzykowski. Rok później mieliśmy nieprawdopodobne igrzyska w Tokio z trzema złotymi medalami Józefa Grudnia, Mariana Kasprzyka oraz Kuleja, a łącznie nasi zawodnicy wchodzili na podium siedem razy! W 1968 roku w Meksyku po raz drugi mistrzem olimpijskim został Jurek, swoje drugie srebro igrzysk wywalczył Artur Olech, zaś pierwsze Grudzień. W Monachium po długim okresie niebytu powrócił Janek Szczepański i sięgnął po złoto, a ono w zasadzie należało się też Wiesłowi Rudkowskiemu.

W 1976 roku już śmiało poczynał pan sobie jako dziennikarz.

Założyłem redakcję sportową w studenckiej rozgłośni „Centrum” w Lublinie, komentowałem dla niej między innymi słynny mecz hokejowy Polska – ZSRR.

JANUSZ PINDERA (ur. 1955) – dziennikarz, publicysta i komentator sportowy, wybitny znawca boksu. W latach 1979–97 publikował w „Sztandarze Młodych” (później „Sztandarze”), następnie w „Rzeczpospolitej”, z którą współpracuje do dziś. Pracował jako pięściarski sprawozdawca TVP podczas igrzysk olimpijskich w Barcelonie, Atlancie, Atenach, Pekinie, Londynie i Rio de Janeiro, ponadto komentował niezliczone walki zawodowców – także w stacjach Canal+, Polsat Sport, Eurosport i Orange Sport. Pisze również o siatkówce, skokach narciarskich, tenisie stołowym i podnoszeniu ciężarów. Jego bokserskie teksty od grudnia 2020 roku można czytać na stronie internetowej „Przeglądu Sportowego”.

Relacjonowałem przez telefon z katowickiego Spodka, jak nasza reprezentacja wygrywa 6:4. Formą nagrody miała być praktyka w TVP lub Polskim Radiu. Wybrałem telewizję. Kiedy Jurek Rybicki w 1976 roku zdobywał złoto igrzysk w Montrealu, nikt się jeszcze nie spodziewał, że okaże się on naszym ostatnim mistrzem, podobnie jak Henryk Średnicki, który dwa lata później w Belgradzie, jako jedyny Polak w historii, został mistrzem świata amatorów. W 1980 roku zaczynałem już pracę w „Sztandarze Młodych”, lecz na igrzyska w Moskwie nie dane mi było pojechać. Bliski złotego medalu był tam Paweł Skrzecz, w finale stracił go tak naprawdę w ostatnich sekundach. Impreza w stolicy ZSRR była wprowadzie okrojona, ale pięć medali olimpijskich naszych pięściarzy pozostawało dobrym wynikiem. Jak wiemy, do Los Angeles swoich reprezentacji nie wysłały kraje bloku wschodniego, a w 1988 roku w Seulu rywalizował już 20-letni Gołota. Wtedy byliśmy jeszcze nie tyle spragnieni medali, co po prostu ich oczekiwaliśmy. Srebro czy brąz dużej imprezy nikogo specjalnie nie zadowalały, bo żywa pozostawała pamięć o wielkich sukcesach Polaków. A żeby wymienić wszystkich naszych mistrzów olimpijskich w boksie, należy wspomnieć jeszcze o zwycięzcy turnieju w Helsinkach w 1952 roku – Zygmuncie Chychle oraz Kazimierzu Paździorze, który triumfował w Rzymie osiem lat później.

Miałem szczęście, że podczas wyjazdów na różne zawody w Polsce godzinami mogłem słuchać Lucjana Olszewskiego, redaktora naczelnego „Boksu”, a następnie „Boksera”. Ten człowiek o polskim pięściarstwie wiedział praktycznie wszystko i podsycał moje dziennikarskie pragnienia. Trzeba natomiast przyznać, że w drugiej połowie lat osiemdziesiątych kryzys dyscypliny w naszym kraju był już ewidentny. Hasła typu „polski boks się kończy” były na porządku dziennym.

Pojawiły się jednak ciekawe postacie.

Jedną z nich był młody trener Andrzej Gmitruk, który w wieku 26 lat został trenerem najlepszej drużyny w kraju, czyli Legii Warszawa, a jako 32-latek w 1983 roku objął kadrę narodową seniorów. Jako młody człowiek w boksie nie miał praktycznie żadnego doświadczenia. Nie był pięściarzem, a na AWF skończył specjalizację z podnoszenia ciężarów. Miał jednak pasję, inteligencję oraz talent do podpatrywania innych. Stworzył wokół siebie ciekawy zespół na czele z doktorem Lechem Świącickim. W Legii, a następnie w reprezentacji, wypracowali nowoczesne jak na tamte czasy metody szkoleniowe. Oprócz nich świetni trenerzy prowadzili zespoły ligowe, bo wówczas rozgrywki były jeszcze mocne. Młodzi pięściarze uczyli się od wybitnych zawodników, którzy kończyli kariery. W Legii taki wzór stanowili choćby Janusz Gortat czy Wiesiek Rudkowski. Bardzo często chodziłem na treningi stołecznego zespołu, bywałem też na

zgrupowaniach kadry juniorów. Wśród młodzieży pojawiła się niezwykle ciekawa grupa: Andrzej Gołota, Janek Dydak, Darek Michalczewski, Krzysztof Żmijan. Ten ostatni gdzieś zniknął, wyjechał bodajże do Anglii i słuch o nim zaginął.

Jakie wrażenie zrobił na panu Gołota?

Nie widziałem go jeszcze na oczy, a już usłyszałem, że w Legii trenuje utalentowany chłopak o wspaniałych warunkach fizycznych, który uczył się boksu pod okiem Tadeusza Branickiego, bardzo dobrego technicznie pięściarza kategorii ciężkiej, mistrza Polski z 1958 roku. Gołota od początku miał szczęście do szkoleniowców. Podstawy boks u niego na najwyższym poziomie. Później wziął się za niego Gortat, dwukrotny brązowy medalista olimpijski. Sam miałem okazję oglądać, jak w 1974 roku na warszawskim Torwarze wygrywa z Leonem Spinksem. Toczył też niezapomniane boje z Mate Parlovem. W pamięci utkwił mi jeden z treningów Gołoty i Gortata na Łazienkowskiej. Wyglądało to świetnie. Ten młody pięściarz bardzo, ale to bardzo mi się podobał. Nieraz z Januszem toczyli nawet lekkie sparingi, gdy Andrzejowi brakowało partnera do boksowania.

W 1983 roku Gołota miał 15 lat, kiedy odpadł w ćwierćfinale mistrzostw Polski juniorów we Wrocławiu, przegrywając 1:4 z Jerzym Gębką w wadze do 81 kilogramów, walcząc do końca mimo złamanego kciuka lewej dłoni. Wcześniej sięgnął po srebrny medal krajowego czempionatu juniorów młodszych w Białymstoku.

Największą imprezą w 1983 roku były mistrzostwa Europy w Warnie, gdzie Paweł Skrzecz zdobył srebro w wadze półciężkiej po nieprawdopodobnym finale z Witalijem Kaczanowskim. Reprezentant ZSRR upadł na deski raz, Paweł trzy razy. Rok wcześniej w mistrzostwach świata w Monachium Skrzecz też był drugi, w walce o złoto uległ Pablo Romero. W obu imprezach brąz w wadze ciężkiej przypadł natomiast Grzegorzowi Skrzeczowi. Nigdy się nie dowiemy, co by było, gdyby Polacy i Kubańcy wystąpili w igrzyskach w Los Angeles. Może Paweł, a może Romero walczyłyby z Evanderem Holyfieldem? Amerykanin nie zdobył tam wcale złotego medalu, bo w półfinale jugosłowiański sędzia zdyskwalifikował go w potyczce z Kevinem Barrym. Mistrzem olimpijskim został Anton Josipović.

Jak mówiłem, nawet srebro dużej imprezy traktowano u nas jako porażkę, a w 1985 roku z mistrzostw kontynentu w Budapeszcie nasi pięściarze przywieźli tylko dwa brązowe medale, konkretnie Tomasz Nowak i Janusz Zarenkiewicz. Trzy miesiące później w Bydgoszczy odbywała się Spartakiada Armii Zaprzysiężonych. Fantastyczna atmosfera, cudowna pogoda, ring pod chmurką. Najlepsi pięściarze świata z tak zwanych demoludów, pierwsze reprezentacje Kuby,



14 grudnia 1996 roku, Atlantic City. Janusz Pindera (z lewej) i Przemysław Saleta jako pierwsi polscy sprawozdawcy komentują zawodową walkę bokserską na żywo z USA, a konkretnie rewanż Riddick Bowe – Andrzej Gołota.

Związku Radzieckiego, NRD, Korei Północnej. W finałach Henryk Petrich i Wiesław Dyla pokonali przeciwników z Kuby. Ten drugi wygrał w wadze ciężkiej z Hermenegildo Baezem, który po porażce 2:3 był tak wściekły, że cisnął pucharem w Wieśka Rudkowskiego. O mały włos nie doszło tam do poważniejszego starcia, pamiętam jak dziś. Baez uważał oczywiście, że został oszukany. Odbływały się tam wielkie walki, na przykład w finale kategorii półciężkiej Kaczanowski pokonał Romero.

Tydzień później był już pan w Bukareszcie. Trener Czesław Ptak powołał dziewięciosobowy skład na mistrzostwa świata juniorów, a wśród naszych nadziei na podium był 17-letni Gołota. Przedtem zdążył sięgnąć w Poznaniu i Oleśnicy po złote medale juniorskich mistrzostw kraju w kategorii plus 81 kilogramów.

Byłem bardzo blisko polskiej drużyny, bo mieszkalem w ośrodku sportowym, gdzie zakwaterowane były wszystkie ekipy. Rok 1985, okres ogromnej biedy i kryzysu gospodarczego w Rumunii. W sklepach nic nie można było dostać,

wyglądało to wszystko fatalnie. W pierwszym pojedynku Andrzej pokonał Turka Erdala Sarikasa, ustawił go lewym prostym i znokautował. Początek był więc rewelacyjny, ale w półfinale męczył się z Silvio Petzoldem z NRD, w końcu wygrał 3:2. A to zawsze „na dwoje babka wróżyła”, jeden sędzia mógł zdecydować inaczej i byłoby niedobrze. Rywalem Gołoty w boju o złoto kategorii ciężkiej był 18-letni Felix Savon, wtedy już mistrz Kuby wśród seniorów. Olbrzym. Któregoś dnia przyszedł do mnie do pokoju, pytając o aparat fotograficzny Zenit TTL, wówczas bardzo modny radziecki sprzęt. Chciał go kupić. Zachowywał się jak duże dziecko, choć już wtedy był fenomenalnie zbudowany przy 196 centymetrach wzrostu. Miał niewiarygodnie długie, umięśnione ręce. Modelowy atleta. Szczupłe nogi, znakomita góra. Wyglądał zdecydowanie lepiej niż młody Deontay Wilder, którego pamiętam z igrzysk w Pekinie w 2008 roku.

Widział pan jego wcześniejsze walki w Bukareszcie?

W ćwierćfinale z Andriejem Czołokianem z ZSRR wypadł bardzo słabo. Byłem tuż przy ringu i zobaczyłem, jak w przerwie między rundami słynny trener Alcides Sagarra zwyczajnie go spoliczkował. Widziałem przerażenie w oczach Savona. Zdawał sobie sprawę, że może ten pojedynek przegrać. Niższy o głowę Czołokian faulował, klinczował, szarpał się w zwarciach, nie dając Feliksowi boksować. Kubańczyk wygrał 4:1, ale nikt by się specjalnie nie zdziwił, gdyby wynik był odwrotny. I kto wie, może nie byłoby wielkiego Savona, bo wówczas porażka w takich zawodach często skutkowała tym, że ktoś wylatywał z reprezentacji Kuby. Półfinał wygrał walkowerem.

Mimo słabego ćwierćfinału, w polskim sztabie obawiano się mocy Kubańczyka.

Pamiętam długą dyskusję, która wywiązała się w nocy przed pojedynkiem o złoto. Trener kadry juniorów Czesław Ptak nie chciał dopuścić Andrzeja do walki, a lekarz naszej ekipy Adam Broda przypomniał, że kryształ się nie skleja. Obawiali się, że Savon rozbije naszego utalentowanego zawodnika. Stanęło na tym, że Andrzej do walki wyszedł, ale Czesław zastrzegł, że zachowa wzmożoną czujność i podda go w pierwszej sytuacji zagrożenia. Zrobił to w drugiej rundzie. Na początku Gołota miał do Ptaka pretensje, jednak później mu przeszło. Myślę, że poczuł siłę ciosów Savona, został trafiony na dół i w głowę. Walka mimo wszystko pokazała też spory potencjał Andrzeja. Początek miał bardzo dobry. Na pewno nie stulił uszu po sobie i nie czekał na rzucenie ręcznika. Rozumiem Czesława, Gołota już wtedy był traktowany jak diament tego zespołu. Mówiono mi, że niedługo wcześniej, podczas turnieju w Budapeszcie wygrał finał, kładąc na deski Węgra Patakiego... lewym prostym. Po powrocie z Rumunii zrobiłem

z nim duży wywiad. Wówczas nawet nie wyobrażał sobie walk w boksie zawodowym, to w ogóle nie wchodziło w rachubę. Rok później, gdy Mike Tyson jako 20-latek został zawodowym mistrzem świata wagi ciężkiej, nic się w tej kwestii nie zmieniło – to nadal nie był cel Gołoty. A jednak po kilkunastu latach obaj stanęli w jednym ringu.

Co ciekawe, w 1985 roku w Bukareszcie startował również Riddick Bowe.

Tak, w kategorii półciężkiej. Kto by pomyślał, że jedenaście lat później będą z Andrzejem toczyć nieprawdopodobne walki jako zawodowcy. Riddick był długi, chudy jak szczapa i niezwykle agresywny w stosunku do rywali. Specjalnie mnie zatem nie zdziwiło, gdy jako profesjonalista kopnął podczas walki Elijah Tillery'ego, a Larry'ego Donalda walnął na konferencji prasowej. W Bukareszcie wpadał do szatni przeciwników i groził, że już tam ich pobije! Wszystkie walki zakończył w pierwszej rundzie. Niewiele brakowało, a o złoto walczyłyby z Henrykiem Zatyką. Ten wyraźnie prowadził w półfinale z Węgrem Peterem Hartem, ale końcówka trzeciej rundy wyglądała w jego wykonaniu fatalnie. Przegrał 2:3, jakby na własne życzenie, zadowolając się brązowym medalem.

Z Bowe'em spotkałem się przy wejściu do ośrodka, był przy tym Ryszard Żochowski, przez lata pracujący w redakcji „Boksu” i „Boksera” z Lucjanem Olszewskim. Riddick pokazał mi kilka bokerskich akcji na sucho i przekonywał: „Zobaczysz, będę zawodowym mistrzem świata”. Ja tak spojrzałem na niego, a on mówi, że ma dwóch idoli: Evandera Holyfielda – niewiele lat upłynęło, a w 1992 roku rozpoczęli wspólną trylogię walk – a także Ricky'ego Womacka. Ten drugi też był świetnym pięściarzem. Do samego końca walczył z Holyfieldem o prawo startu w igrzyskach w Los Angeles. Później popadł jednak w poważny konflikt z prawem, skazano go na dwadzieścia pięć lat więzienia za napaść z bronią w rękę. Wyszedł po piętnastu latach, stoczył cztery walki i popełnił samobójstwo. A zdaniem Emanuela Stewarda mógł być lepszy niż Holyfield... Nie wiem jednak, czy tak by się stało, w końcu Evander miał niesamowity ringowy charakter.

18-letni Bowe został uznany za najlepszego pięściarza tamtych zawodów.

Amerykanie mieli tam jeszcze jednego bardzo dobrego zawodnika, w kategorii półśredniej. Nazywał się Kenneth Gould. Rok później w Reno został już mistrzem świata seniorów, a następnie sięgnął po srebro igrzysk panamerykańskich w 1987 roku. Riddick przeskoczył wtedy z wagi półciężkiej do superciężkiej. W Indianapolis stanął na najniższym stopniu podium, zaś złoto wywalczył Jorge Luis Gonzalez, jego późniejszy rywal na zawodowym ringu. W półfinale Kubańczyk pokonał 3:2 Bowe'a, a w finale 4:1 Lennoksa Lewisa.

Wspomniął pan o mistrzostwach świata seniorów w Reno w 1986 roku, skąd brązowe krążki przywieźli Tomasz Nowak i Henryk Petrich.

Oba medale też nie spełniały oczekiwań kibiców. Coraz większe nadzieje można było jednak wiązać z młodzieżą. Kilka miesięcy później Gołota został w Kopenhadze mistrzem Europy juniorów, a wśród pięciu polskich brązowych medalistów znalazł się Darek Michalczewski. Na te zawody nie pojechałem, widocznie mając inne dziennikarskie zadania. Gołocie do triumfu wystarczyły dwie walki, w finale pokonał Nikołaja Seturiego z ZSRR. Podobają mi się praca trenera Ptaka. Pamiętam, że pod koniec 1985 roku zabrał kontuzjowanego Andrzeja na bardzo silnie obsadzony turniej w Tbilisi tylko po to, żeby przyjrzał się zawodnikom, z którymi ewentualnie przyszłoby mu kiedyś walczyć. Moim zdaniem Gołota w czasach amatorskich był bardzo dobrze prowadzony.

Tuż po powrocie z Danii, 28 września 1986 roku, Gołota miał zadebiutować w dorosłej drużynie Legii Warszawa, jednak stołeczna Gwardia nie wystawiła przeciwko niemu swojego pięściarza. Według „Przeglądu Sportowego” rywalem mógł być kończący bogatą karierę Paweł Skrzecz, ale pożegnalny pojedynek stoczył nieco później.

Możliwe, bo pod koniec kariery Paweł przeszedł do kategorii ciężkiej. W finale mistrzostw Polski w 1985 roku przegrał z Wiesławem Dylą, był nawet liczony. Dyla to był kolejny dobry zawodnik młodego pokolenia, obdarzony mocnym ciosem, choć nie o takiej skali talentu jak Gołota. Dziś niestety już nie żyje. Odłączył się od reprezentacji w kwietniu 1987 roku po półfinałowej porażce z 18-letnim Roberto Balado w turnieju Intercup w Hemsbach i pozostał w Niemczech.

W ten sposób Gołocie ubył najpoważniejszy rywal do miejsca w kadrze. Tuż przed ucieczką, w marcu 1987 roku w Sosnowcu, starszy o pięć lat Dyla pokonał Andrzeja po brzydkiej walce w czwartym ligowym występie warszawianina. Gołota był już wtedy młodzieżowym mistrzem Polski z Włocławka, a choć w pierwszym zespole Legii w 1986 roku zdążył wystąpić tylko raz, znalazł się wśród drużynowych mistrzów kraju za tamten sezon.

W lidze nie było jeszcze podziału na wagę ciężką i superciężką, więc Gołota jako młody chłopak wążący dziewięćdziesiąt parę kilogramów spotykał się nieraz ze znacznie cięższymi, starszymi rywalami. Zdecydowaną większość walk wygrywał. Choćby z Marianem Klepką z Igloopolu Dębica czy Leszkiem Rybińskim z GKS Jastrzębie. Ze swoim rówieśnikiem Henrykiem Zatyką z Gwardii Warszawa też sobie radził, ale z nim było inaczej. Ten pięściarz był naturalnie lżejszy od Andrzeja. Obserwując ich na treningach podczas ćwiczeń

sprawnościowych lub siłowych, mogło się wydawać, że w walce Andrzej wciągnie go nosem. A bywało różnie, bo Zatyka okazywał się sprytnym i niewygodnym, asekuracyjnie bokującym mańkutom. Gołota wygrywał, ale bez wielkiej dominacji. W lidze miewał lepsze i gorsze występy, jednak wiadomo było, że to zawodnik o wielkim potencjale. Podczas treningów czy sparingów wyglądał rewelacyjnie, ale potem trochę spalał się psychicznie i bywał spięty, nawet jako wyraźny faworyt pojedynku. Miał tego świadomość Andrzej Gmitruk oraz inni trenerzy, którzy z nim pracowali. Wtedy nie wydawało się jednak, że w przyszłości będzie to poważny problem.

Stołeczne zespoły najczęściej walczyły ze sobą w Hali Gwardii – także wtedy, gdy gospodarzem meczu byli legionieści.

Atmosfera była niesamowita, trybuny pełne. Na mecze chodziło się z dużą przyjemnością, szczególnie na te derbowe, bo miały specyficzny, wyjątkowy klimat. W pierwszej połowie lat osiemdziesiątych Legia rządziła w lidze i była w zasadzie jedynym klubem, który potrafił wygrywać także na wyjeździe. Charakterystyka tych rozgrywek polegała bowiem na tym, że najczęściej zwyciężało się u siebie, by na terenie przeciwnika równie wysoko przegrać. W tamtym okresie pozwoliłem sobie na kilka długich wycieczek autobusem, choćby do Słupska czy na Śląsk. Na miejscu zawodów panowała gorąca atmosfera i nie da się ukryć, że było też trochę szowinizmu.

Na przełomie maja i czerwca 1987 roku Gołota pojechał z pierwszą reprezentacją Polski na mistrzostwa Europy w Turynie, gdzie tylko Henryk Petrich stanął na podium, zdobywając srebro w wadze średniej.

Warto cofnąć się jeszcze o cztery miesiące, do lutowego debiutu Andrzeja w kadrze. W warszawskiej Hali Gwardii Polacy pokonali w meczu towarzyskim Węgrów 14:10, a 19-letni Gołota wygrał niejednogłośnie z nie byle kim, bo z dużo starszym Gyulą Alvicsem, ówczesnym wicemistrzem Europy. Ta walka była raczej remisowa, więc z werdyktem niekoniecznie trzeba się zgadzać. Widać było jednak, że ten chłopak mógł już równorzędnie rywalizować z najlepszymi seniorami na kontynencie. Myślę, że to było bardzo ważne zwycięstwo. Nieopierzony Andrzej wszedł między liny z dorosłym, 28-letnim zawodnikiem wysokiej klasy, ringowym zabijaką. Mało tego, Gołota udźwignął ciężar oczekiwania! Był to mecz w stolicy, jego debiut w pierwszej reprezentacji. Mówiono przecież, że Gmitruk popełnia błąd, że Andrzeja nie powinno się w takim spotkaniu wystawiać. A on wytrzymał ciśnienie i naprawdę mi zaimponował, niezależnie od tego, jak będziemy oceniać werdykt.

W Turynie nasz bohater miał sporo szczęścia w wygranej przed czasem potyczce z Maikiem Heydeckiem z NRD, lecz zabrakło mu go w ćwierćfinale ze znacznie niższym Ramzanem Sebijewem z ZSRR. Rywal był liczony w drugiej rundzie po kontrze Gołoty, jednak w trzeciej wpadł na Andrzeja głową, rozciął mu łuk brwiowy i Polak nie mógł dalej walczyć.

Ze szczęściem Andrzeja w karierze amatorskiej bywało różnie. Walki z Heydeckiem nie widziałem, ale można zakładać, że był to ktoś w rodzaju Petzolda, z którym miał kłopot dwa lata wcześniej w Bukareszcie. Bokserzy z NRD z reguły boksowali za podwójną gardą, byli schematyczni jak roboty. Z takimi na pewno nie walczyło się łatwo. Z relacji wiem, że walka z Sebijewem, który w finale tamtych mistrzostw Europy uległ Arnoldowi Vanderlyde, rzeczywiście była wyrównana.

Pod koniec 1987 roku Gołocie podobny uraz przeszkodził w rywalizacji z Aleksandrem Zołkinem podczas turnieju w Leningradzie, choć wtedy Andrzej przegrał na punkty 1:4, a nie przed czasem.

Rywal był wówczas wicemistrzem ZSRR, a potem z powodzeniem rywalizował jako zawodowiec w USA. W 1996 roku przegrał potyczkę o pas federacji WBO z Henrym Akinwande o 218-centymetrowym zasięgu ramion, który z kolei został niejednogłośnie pokonany przez Gołotę w meczu międzypaństwowym Polska – Anglia jesienią 1987 roku w Słupsku. A wracając do Turynu, tam mocno liczyliśmy także na Stanisława Łakomca, lecz w ćwierćfinale wagi półciężkiej przegrał 2:3 z Włochem Andream Magim. To był polski król nokautu. Zawsze wiązaliśmy z nim duże nadzieje, ale choć cztery razy startował w mistrzostwach Europy, nigdy nie przywiózł medalu.

Rok 1987 to także pamiętne mistrzostwa Polski w Krakowie, gdzie po raz pierwszy wśród seniorów złote medale wywalczyli młodzieńcy z rocznika 1968: Jan Dydak w wadze półśredniej, Dariusz Michalczewski w lekkopółśredniej oraz Gołota w ciężkiej.

A więc była nadzieja dla polskiego boks. Tyle że pięć miesięcy przed igrzyskami Darek oraz najmłodszy z braci Kosedowskich, jego imiennik, postanowili zostać w Niemczech przy okazji turnieju w Karlsruhe. Michalczewski prawdopodobnie znalazłby się w kadrze Gmitruka na Seul. Wiem, bo byłem blisko wszystkich spraw decyzyjnych, w owym czasie często bywając w małym mieszkanku doktora Świącickiego w Alejach Jerozolimskich. Janek Dydak to niestety kolejny z pięściarzy, którego nie ma już wśród nas. W Korei Południowej wywalczył olimpijski brąz w kategorii do 67 kilogramów, wygrywając trzy walki. Słyszałem,



Niespełna 18-letni Felix Savon był starszy od Gołoty tylko o trzy i pół miesiąca, ale już wyglądał jak gladiator. 8 września 1985 roku w Bukareszcie wywalczył złoty medal MŚ juniorów w wadze ciężkiej.

że przed półfinałem z Robertem Wangiłą dzwonił do prezesa Czarnych Słupsk, chcąc się poradzić w sprawie kontuzji ręki. Doktor Świącicki był gotów dać mu zastrzyk przeciwbólowy, ale Janek postanowił, że odda pojedynek walkowerem. Prezes pewnie przypominał mu, że mecze w lidze też są bardzo ważne – wtedy rozgrywki ze względu na igrzyska zostały rozłożone na lata 1987 i 1988. Szkoda, ale myślę, że Dydak w starciu z Kenijczykiem nie byłby faworytem.

W lutym 1988 roku Gołota odniósł jedno ze swoich najcenniejszych zwycięstw na ringu amatorskim, wygrywając 3:2 finał turnieju Strandja w Sofii z Roberto Balado, późniejszym trzykrotnym mistrzem świata oraz złotym medalistą olimpijskim z Barcelony.

To prawda, choć wówczas jeszcze nikt nie zdawał sobie sprawy, że Kubańczyk będzie aż tak mocny. W wadze ciężkiej przegrywał z Feliksem Savonem, a największe sukcesy osiągnął w superciężkiej. Porównując ich pod względem fizycznym, wydawałoby się, że to Balado powinien boksować w kategorii do 91 kilogramów, a Savon powyżej 91. Roberto miał 183–184 centymetry wzrostu i wyglądał na lekko otłuszczonego, ale dla rywali pozostawał nieuchwytny. W Gołocie zapewne nie wzbudzał lęku, bo nie wydawał się kilerem, potężnym facetem. Andrzej był o rok starszy, wyższy. Miał doświadczenie, dynamikę i znakomitą

lewą rękę. Już półtora roku później Roberto został złotym medalistą mistrzostw świata w Moskwie. Patrząc przez pryzmat całej kariery Balado i jego sukcesów, na pewno było to bardzo cenne zwycięstwo Gołoty.

Bardzo ciekawe, czy Władimir Kliczko wygrałby igrzyska w Atlancie, gdyby w 1994 roku auto 25-letniego Balado nie zostało zmiążdżone przez pociąg w Hawanie. Sześć lat wcześniej w Seulu Kubańczyków zabrakło w turnieju olimpijskim, co ułatwiło zadanie między innymi Gołocie.

Na pewno tak, bo gdyby po trzech latach spotkał się w rewanżu z Savonem, to faworytem nadal byłby Kubańczyk, który był już przecież mistrzem świata z Reno oraz triumfotorem igrzysk panamerykańskich w Indianapolis, choć urodził się tylko kilka miesięcy wcześniej niż Andrzej. Nie ulega wątpliwości, że absencja zawodników z Gorącej Wyspy zaniżyła poziom igrzysk w 1984 i 1988 roku. Inni zawodnicy, którzy w Seulu mieliby szansę na złoto, to między innymi Angel Espinosa czy wspomniany już Pablo Romero. Co prawda ten drugi rok później przegrał w finale mistrzostw świata w Moskwie z Henrym Maske, ale wynik 18:11 był dyskusyjny.

A co do Savona, to wspólnie z Gołotą widzieliśmy go w 1996 roku podczas igrzysk w Atlancie. Andrzej przyleciał tam na krótko, zaledwie półtora tygodnia po pierwszej zawodowej walce z Bowe'em, aby spotkać młodszych kolegów z reprezentacji Polski. Komentowałem ten turniej dla TVP. Gołota podszedł do mojego stanowiska. Był w znakomitym nastroju. Każdy zwracał na niego uwagę, proszono go o autografy, bo właśnie zapewnił sobie popularność w całej Ameryce. Stoimy, rozmawiamy, a obok nas Savon – to olbrzymie chłopisko, które w Atlancie zdobyło drugi złoty medal olimpijski ze swoich trzech w całej karierze. Andrzej spojrzał wtedy na mnie i zapytał: „To co, może teraz bym z nim wyszedł? Dałbym mu radę?”. Nie wiem, czy Kubańczyk go nie poznał, a może celowo nie patrzył w jego kierunku? Myślę, że raczej to pierwsze, bo to był zupełnie inny Andrzej niż ten szczupły, ważący 91 kilogramów chłopak sprzed jedenastu lat z Bukaresztu. Potężny, umięśniony, o 20 kilogramów cięższy, prawdziwy pięściarz królewskiej kategorii. W porównaniu z zawodnikami, którzy tam boksowali, pod względem fizycznym wyglądał naprawdę imponująco.

Ile czasu pozostawało do igrzysk w Seulu, kiedy Gołota został dotkliwie pobity przez paru bramkarzy w warszawskim klubie Park? Na szczęście „rany goiły się na nim jak na psie”, jak mówił Janusz Gortat.

Nie pamiętam dokładnie, ale wiem, że na przedolimpijskie zgrupowanie w Zakopanem, gdzie też byłem, przyjechał dość szybko. Dotarł na miejsce mocno

poturbowany, lecz po kilku dniach właściwie nie było już śladu po obrażeniach i normalnie trenował. Jedynym dziennikarzem, który widział tamtą sytuację w Parku i później o niej opowiadał, był Włodek Szaranowicz. Zdaje się, że pozostawał w dobrej komitywie z ówczesnym szefostwem Legii i szybko zadzwonił, gdzie trzeba. Przyjechała jakaś ekipa, a Włodek podjął też stanowczą mediację z bramkarzami. Tam była siła złego na jednego, kilku mężczyzn rzuciło się na Gołotę i różnie mogło się to skończyć, łącznie z wypadnięciem z igrzysk. Do Seulu niestety nie mogłem się wybrać. Wtedy na igrzyska latali kierownicy, a ja w „Sztandarze Młodych” byłem zastępcą szefa działu sportowego Ryszarda Starzyńskiego. Wysłano mnie za to na igrzyska paraolimpijskie, ale zawodów bokserskich oczywiście tam nie rozgrywano.

Igrzyska stały nie tylko pod znakiem świetnych walk, ale i skandali sędziowskich.

Oczywiście oglądałem wszystko w telewizji i bardzo przeżywałem ten turniej. Świetnie znałem sędziego Ryszarda Redo, fantastycznego człowieka, który po powrocie do Polski opowiadał mi o tym, co działo się w Seulu. Stwierdził, że jeśli ktoś miał miękki kręgosłup, to łatwo było go przekupić, bo Koreańczycy robili dosłownie wszystko, byle tylko ich zawodnicy wygrywali. Poziom korupcji był wręcz niewiarygodny! Niewiele brakowało, a z powodu skandalicznych werdyktów sędziowskich boks wypadłby z programu olimpijskiego.

Nie wiem, czy zawodnik gospodarzy w wadze do 91 kilogramów Baek Hyun-man w pierwszej walce zasłużenie pokonał 5:0 Željko Mavrovicia, ale w ćwierćfinale już w pierwszej rundzie rozprawił się z Maikiem Heydeckiem, znajomym Gołoty z Turynu. Miał szybkie ręce i w półfinale trafił Polaka mocnymi, precyzyjnymi ciosami.

Walczył z odwrotnej pozycji i w starciu z Gołotą pokazał kilka naprawdę ciekawych akcji. W drugiej rundzie Andrzej zaczął łapać rytm, ale nadział się na prawy sierpowy Koreańczyka, po którym drugi raz w tej walce był liczony. To uderzenie rozcięło mu łuk brwiowy, a kontuzja okazała się tak fatalna, że pojedynek musiał zostać przerwany. Szkoda, bo boksersko Gołota był od tego rywala dużo lepszy. Finał wagi ciężkiej wygrał Ray Mercer, znakomity pięściarz. Zaczął trenować w wojsku już jako dorosły facet i był z niego kawał kozaka. Wystarczy popatrzeć na jego zawodowe pojedynki. Z Lewisem, złotym medalistą tamtych igrzysk w kategorii superciężkiej, w 1996 roku bił się absolutnie jak równy z równym. Brytyjczyk, który w Korei Południowej reprezentował Kanadę, wygrał o włos, a od tego pojedynku mnóstwo zależało w jego amerykańskiej karierze. Kto wie, gdyby sędziowie nie wskazali na Lennoksa, być może rozstałby się z trenerem Emanuelem Stewardem?

Trochę zapomnianym, ale bardzo cennym zwycięstwem Gołoty jest wygrana ze Swilenem Rusinowem w 1/8 finału w Seulu. Bułgar to trzykrotny medalista mistrzostw świata i brązowy medalista olimpijski z Barcelony, a w mistrzostwach Europy stawał na podium cztery razy. W ćwierćfinale Andrzej uporał się natomiast z mniej znanym Haroldem Obungą z Kenii.

Mimo wszystko pozostał niedosyt zarówno po występie Gołoty, jak i całej naszej reprezentacji. Polacy wywalczyli tam cztery medale, ale wszystkie brązowe i żaden z naszych nie awansował do finału. Stać było na to zarówno Andrzeja, jak i Henryka Petricha w wadze półciężkiej, który w pierwszej rundzie miał na deskach Amerykanina Andrew Maynarda. W superciężkiej Janusz Zarenkiewicz oddał walkowerem półfinałową potyczkę z Lewisem, a ten następnie pokonał Bowe'a. Z kolei o sytuacji Janka Dydaka już wspominałem.

Skoro mowa o Lewisie, to zrodziły się mity o jego sparingu z Gołotą w listopadzie 1987 roku w Warszawie.

Nie ma tu żadnego mitu! Lennox nie może sobie przypomnieć, czy wtedy był w ringu z Gołotą, ale to tylko kolejny dowód na to, że wypowiedzi pięściarzy często należy weryfikować. Bywa, że mają pamięć wybiórczą albo po prostu słabą. Oczywiście Lewis nie ma żadnego powodu, żeby nie chcieć pamiętać Andrzeja. Podobnie było ze słynnym rosyjskim pięściarzem Aleksandrem Lebziakiem. Kiedyś przyjechał na Turniej imienia Feliksa Stamma jako trener reprezentacji Turkmenistanu. Przypominałem mu, jak w 1991 roku w mistrzostwach świata w Sydney, na których byłem, wygrał z naszym zawodnikiem Robertem Budą. Dodaję: „No, ale potem cię oszukali w finale z Tommaso Russo”. Dziwnie na mnie spojrzął i odpowiada: „Nie, w Australii zdobyłem złoty medal. Oszukali mnie w Budapeszcie”. A ja do niego: „Sasza, ty w Budapeszcie w 1997 roku zdobyłeś złoty medal! W Sydney byłeś drugi”. Przedziwna historia. Nie wiedziałem, czy żartuje, czy mówi poważnie, ale jemu naprawdę wszystko się pomyliło.

Lewis z Gołotą stoczyli krótki sparing. Reprezentacja Kanady przyleciała do Polski głównie dzięki Maciejowi „Mattowi” Mizerskiemu, trenerowi, który został w tym kraju szefem wyszkolenia. Mieszkali w hotelu Polonia, gdzie pierwszy raz zobaczyłem Lennoksa. Zrobił na mnie ogromne wrażenie, niesamowite było już to, jak się poruszał przy swoich warunkach fizycznych. Kanadyjczykami opiekował się rumuński trener Adrian Teodorescu, najważniejszy szkoleniowiec w karierze amatorskiej Lewisa. Przed Turniejem imienia Feliksa Stamma odbywały się sparingi na AWF. Jednym z pierwszych, który odrzucił rękawice, był Marek Łukasik, bokser Zagłębia Lubin. Powiedział do Gmitruka: „Trenerze, nie będę z nim sparował, kopie jak koń!”.

Swoją drogą, Gołocie z Łukasikiem nie walczyło się łatwo. W ćwierćfinale mistrzostw Polski w Krakowie Andrzej wygrał zaledwie 3:2.

Ale w sparingu z Lennoksem ten zawodnik zrezygnował po jednym czy dwóch ciosach, chociaż boksowali w dużych rękawicach i oczywiście w kaskach. Lewis jako zawodnik kategorii superciężkiej ważył już pewnie nieco ponad sto kilogramów, więc pomiędzy nim a Andrzejem było przynajmniej dziesięć kilo różnicy. Lennox był także o trzy lata starszy, miał dużo większe doświadczenie. Sparing zaczął się dla Gołoty bardzo fajnie. Pozostawał skoncentrowany i kilka razy trafił lewym prostym. Ale Lennox w którymś momencie palnął prawym raz i drugi. Nic wielkiego się nie wydarzyło, lecz Andrzej Gmitruk był bardzo ostrożny i przerwał sparing. Nie minęła chyba nawet pełna runda. Parę dni później obaj wygrali turniej w cuglach. Gołota w finale pokonał Henryka Zatykę, a Lewis nieżyjącego już niestety Mariana Klepkę.

W sezonie 1987/88 pięściarze Legii nie obronili tytułu mistrzów Polski. Zajęli drugie miejsce, a zwyciężył Iglloopol Dębica. Gołota wygrał dwanaście z trzy-nastu walk, nie dał rady tylko wspomnianemu Wiesławowi Dyle w marcu 1987 roku. Przed igrzyskami w Seulu – w Kielcach drugi raz został mistrzem Polski seniorów w wadze ciężkiej, a w 1989 roku w Łodzi wywalczył trzeci tytuł. Zbliżały się mistrzostwa Europy w Atenach oraz mistrzostwa świata w Moskwie.

Po Seulu z pracy w kadrze zrezygnował Gmitruk, zastąpił go Jurek Rybicki. I z Aten nasz zespół przywiózł pięć medali, a najcenniejsze było srebro Dariusza Czernija w wadze lekkopółśredniej. Tyle że już w Moskwie skończyło się na jednym podium Krzysztofa Wróblewskiego w kategorii muszej, który tak jak w Grecji wywalczył brąz. Wtedy wydawało się, że gorzej być nie może, ale w kolejnych trzech dekadach dorobek Polaków w mistrzostwach świata zamknął się w zaledwie czterech medalach: Roberta Ciby i Tomasza Borowskiego w 1995 roku w Berlinie, Andrzeja Rżanego w 1999 w Houston oraz Aleksego Kuzińskiego w 2003 w Bangkoku. A w igrzyskach już tylko Wojciech Bartnik sięgnął po brąz w 1992 roku w Barcelonie.

Trzeci w mistrzostwach Europy w Atenach był także Gołota. Do strefy medalowej awansował dzięki gładkiemu zwycięstwu nad reprezentującym Szwecję Hamayakiem Shahbazianem.

W półfinale zasłużenie przegrał zaś z wicemistrzem świata Arnoldem Vanderlyde, który stał z nim na olimpijskim podium w Seulu, a w Atenach obronił tytuł z Turynu. Andrzej bywał nierówny, nieraz nie pasował mu styl rywala, ale jako młody zawodnik wciąż miał do tego prawo. Holender mierzył blisko dwa

metry i potrafił wykorzystać zasięg ramion. To był inteligentny pięściarz, który miał trochę pecha, że trafił na okres dominacji Savona. Pamiętam, jak w ramach dnia wolnego podczas mistrzostw świata w Sydney w 1991 roku większość ekip wybrała się w rejs. Vanderlyde był rozluźniony, prowadził ciekawe rozmowy, a na statku popijał piwo. Dzień później stoczył najlepszą w karierze potyczkę z Savonem. Przegrał 15:39, ale po ciekawym pojedynku.

Blizszy pokonania Kubańczyka był natomiast przyszły rywal Gołoty z zawodowego ringu Danell Nicholson. W ćwierćfinale igrzysk w Barcelonie walczył naprawdę fantastycznie i gdyby sędziowie nie byli tak zapatrzeni w wielkiego Feliksa, to pewnie mielibyśmy sensację. Savon wygrał 13:11, ale moim zdaniem w końcówce nie liczono ciosów Amerykanina, dzięki czemu Kubańczyk przesłiznął się dalej i wygrał te igrzyska, a potem powtórzył ten sukces w 1996 roku w Atlancie i w 2000 w Sydney. Podeszedłem wtedy do Danella, pogratulowałem występu. Był zdziwiony, że ktoś w ogóle zauważył jego dobry boks. Minęły niecałe cztery lata i podczas „Nocy Młodych Ciężkich” telewizji HBO skrzyżował rękawice z Andrzejem.

We wrześniu 1989 roku w Moskwie Gołota zdeklasował 22:1 Bułgara Georgija Tankowa, ale w ćwierćfinale mistrzostw świata nie sprostął starszemu o pięć lat i walczącemu u siebie Jewgienijowi Sudakowowi.

To był taki radziecki twardziel, już dorosły mężczyzna, bardzo silny 26-latek. Widać to było także w jego finałowym starciu z Savonem. Przegrał 8:18, ale Kubańczykowi na ogół ulegano sromotnie lub oddawano pojedynki walkowerem. Tak jak w Turynie czy Seulu, Andrzej przegrał z powodu głębokiego rozcięcia na twarzy. Stałem przy ringu i widziałem, jak obficie płynęła krew. Sędzia przerwał pojedynek w pierwszej rundzie.

Ligowy sezon 1989 warszawska Legia zakończyła dopiero na piątym miejscu, tytuł obronił Igloopol. Z dwunastu walk Gołota wygrał jedenaście, między innymi z Zarenkiewiczem. Przegrał tylko przez dyskwalifikację z Tadeuszem Romańskim w wyjazdowym meczu z Górnikiem Sosnowiec, otrzymując od sędziego trzy ostrzeżenia za przytrzymywanie. Temu rywalowi zrewanżował się później w Warszawie.

A na przełomie 1989 i 1990 roku ogłoszono, że Legia zostaje wycofana z ligi. Znowu wydawało się, że w boksie zapanuje marazm. Kilka miesięcy po aferze we Włocławku, gdzie w maju 1990 roku kadra Rybickiego przyjechała na sparingi z obozu w Cetniewie, Gołota wyjechał z Polski do Stanów Zjednoczonych. Było już tyle opowieści o sposobie opuszczenia przez niego kraju, że przestałem

dochodzić, która jest prawdziwa. Możliwe, że wyjechał najzupełniej normalnie, skoro miał już tam żonę Mariolę, poznaną w Chicago podczas meczu USA – Polska w czerwcu 1989 roku, a także małą córeczkę. Nie wiem też, czy wspomnienia o jego ukrywaniu się w kraju przed wylotem do Ameryki nie są po trochu mitami.

Kiedy obserwował pan tego młodego człowieka w trakcie zgrupowań, wydawał się kimś, kto w życiu pozasportowym może zejść na złą drogę?

Andrzej zawsze był trochę inny, lubił zaznaczać swoją indywidualność. Czasami spóźniał się na poranne apele, by pokazać, że jest panem swojego losu. Bardzo lubił rozwiązywać krzyżówki. Nieraz przychodził do mnie, pytając o jakieś zagadnienie, gdy nie znał odpowiedzi. Widać było, że czegoś szuka, że interesują go także rzeczy niezwiązane z boksem. Rozumieliśmy się całkiem dobrze, chociaż na pewno nie był gadułą, który potrzebował bliskiego kontaktu. Lubiał poczytać w pokoju, zająć się sobą. Kochał trening, ale kiedy coś mu nie do końca wychodziło, na przykład gra w tenisa stołowego, nie palił się do rywalizacji. Częściej w ping-ponga grałem więc z Darkiem Michalczewskim, a najczęściej z Darkiem Mrozem. Andrzej był specyficznym człowiekiem, trzeba to jasno powiedzieć. Posiadał natomiast ogromny potencjał sportowy. Uwielbiał ciężko trenować, szczególnie w czasach juniorskich. Pod tym względem bił każdego. Nie miał sobie równych na przykład w wyścigach kajakowych w trakcie obozu w Giżycku. Pamiętam znanego dziś psychologa sportowego Marka Graczyka, który w tamtym okresie zaczynał pracę w tym zawodzie po obronie doktoratu. Rozmawiał nie tylko z Gołotą, ale z całą grupą pięściarzy. Był z siebie dumny po mistrzostwach Europy w Bursie w 1993 roku, gdzie złoto wywalczył Jacek Bielski, a srebro Robert Ciba. I słusznie, bo jego praca przyniosła efekt. Z Gołotą chyba nawet najwybitniejsi psychologowie mieliby jednak problem. Wymykał się wszelkim schematom.

Gdyby jego losy potoczyły się inaczej, w 1992 roku w Barcelonie mógłby sięgnąć po olimpijskie złoto? Dwa lata wcześniej w Jastrzębiu-Zdroju czwarty raz został mistrzem Polski seniorów, już w kategorii powyżej 91 kilogramów.

Pamiętajmy, że w Barcelonie rządzą Savon i Balado. A cztery lata później w Atlancie w kategorii superciężkiej zwyciężył Władimir Kliczko. Jak wyglądałaby rywalizacja 24-letniego bądź 28-letniego Gołoty z tymi pięściarzami na ringu amatorskim? Tego nigdy się nie dowiemy. Miał jednak absolutnie wszystko, żeby wygrywać także z wymienionymi sławami. Kto wie, czy na krótszym dystansie, w nieco innych rękawicach, nie miałby większych szans niż w swoich

najważniejszych walkach w boksie zawodowym? Nie posunąłbym się jednak do stwierdzenia, że podczas kariery amatorskiej Gołota był już wybitnym pięściarzem. Mimo niewątpliwych atutów, potrzebował jeszcze solidnej obróbki i własnej ciężkiej pracy. Dlatego kiedy w autobiografii Lou Duvy przeczytałem, że w Seulu w najcięższych kategoriach zwrócił on szczególną uwagę na Lewisa, Bowe'a, Mercera i właśnie na Gołotę, to lekko się uśmiechnąłem. Zakładałem, że w 1992 roku Andrzej byłby lepszy niż w 1988. Myślę, że przy solidnych trenerach, których mieliśmy w Polsce, jego talent nadal by się rozwijał. Ale czy wygrałby z fantastycznymi Savonem lub Balado? Trudno powiedzieć. Na pewno byłoby to trudne zadanie.

